

ogród botaniczny

gdy rozmyślałem, co ci odrzec mogę –
a pary milcząc szły po czystych drogach,
na grządkach liście, drzewa były gołe,
na płotach kwiaty jak żelazo chłodne,
jak wosk szlachetnie światło wypłowiawe –
dostrzegłem nagle na pagórku białe
cieplarni szklanej żebra, *fin de siècle*,
i pomyślałem o tych wielorybów
szkieletach, które kiedyś jako malce
w muzeach widzieliśmy szybujące,
na niewidocznych drutach zawieszane,
o tych olbrzymach z głębi pradziejowej
zniesionych na piaszczysty brzeg przez fale,
zduszonych swoich własnych ciał ciężarem.

człowiek z morza

znajduje się go w jakimś fraku z soli
i piasku. paszport zaś ma z wodorostów,
za nim orkiestra mew. i mglistość.

nie mówi, lecz przy fortepianie wznieca fale
filcowe, co po skrzyni w różne strony
się toczą. a ręk ciężkie epolety
następnie mu lądują na ramionach;
godzina sławy, potem wiek tabletek,

jesienne noce: po korytarzach suną pielęgniarki
jak góry lodu. pod szpitalnym murem
w ogrodzie się miejscami jeszcze żarzą
ostatnie liście, a ze starej szopy
powojem zarośniętej cicho mruczy
fortepian, ludzie mówią, że to chopin.

co robi ten atrament wśród gałęzi,
te czarne krople, które w kleksy kosów
się nagle łączą? czy to tekst do księgi
wieczystej czy do brudnopisu?

obok stodoły starej, gdzie krajobraz
w grunt grządek wsiąka, tam za płótem. kłębi
się zapach kwiatów w kwietniu, papier czerpa-
ny, czerpie bez ze swych przepastnych głębi,

podczas gdy pranie schnie i na wietrze
łopocze, a kosy się zmieniają w kawki.
i jaki słodki sekret nam powierzy
lub jaką gorzką tajemnicę dawną,

gdy się jesienią wokół ciemnej wazy
zbierzemy, mając w rękach srebrne łyżki,
na sobie zaś koszule czyste i bez skazy,
niedzielne, milcząc głucho jak kopiści?

zachód

myśli rzeki to ryby. więc co to było,
co jako pierwszy wyrwał jej
sergeant henley, co miało żółte wytrzeszczone oczy,
a wąsy jak pogrzebacz wokół szarej jak popiół gęby,
na widok której nawet psy skamlały?

wiry i ich szalona
gramatyka, za którą podążamy w stronę źródła.
w oddali mgliste góry,
równiny z trawy, czasem się pojawi
jakiś tubylec, który z rozbawieniem
przyjrzy się nam i zniknie
w lesie: a wszystko nanosimy
na starą mapę adama, nazywamy
gatunki i czyny. w mięśniach tkwi gorączka
i tygodniami na diecie z korzonków
i wiary w boga. pod koszulą kleszcze
jak szpilki wbite w skórę: to właśnie dzika natura
bierze z nas miarę.

dziwne uczucie: być
granicą, punktem, który jest i końcem
i początkiem. przy ogniu nocą nasza krew
w komarów chmurach krąży ponad nami,
my zaś za pomocą twardych ości
zszywamy skóry robiąc buty,
by dojść do celu, oraz kotdry do snu.
przed nami nietknięte tereny, za nami
roje osadników, ich karta
z płotów i krat; za nami
wozy handlarzy,
wielkie miasta, pełne hałasu i przyszłości.

kameleon

starszy niż pastorał,
który ciągnie za sobą: krzywaśń
ogona. zejść na dół, wołamy
do niego, gdy siedząc na gałęzi wysuwa język
jak teleskop i połyka konstelację
ważki: astronom, który
patrząc w niebo i jednocześnie
na ziemię – zachowuje dystans
do nich obu. kopyty oczu opancerzone
w łuski, twierdza, w której
porusza się tylko źrenica, nerwowe
migotanie za strzelnicą (czasami
odnajduje się jego skórę jak pusty
punkt oparcia, dawno porzuconą tezę).
zejść na dół, wołamy. ale on
się nie porusza, stopniowo ginie wśród
kolorów. ukrywa się w świetle.

płonący gaj

jakby zaplątał się gdzieś w trawie
fragment poprzedniego wieczora
jakby migoczący skrawek
zachodu słońca szarpał

jej cierniem: sielankowy obraz,
który tu dawniej
był, zniknął, tak się nam
zdawało, gdy staliśmy przy oknie,

zbudzeni dzwonem, oślimi krzykami
starej pompy, do re-
szty w gaju wywołani
chiaroscuro

podomek i zmierzwionych loków
a niektórzy niemalże
we łzach. w pozie laookona
gdzieś jakiś człowiek manewrował wężem.

szybciej niż slumsy pożar się rozszerzał:
walka toczyła się o każdy krzew,
każdy nadpalony pień, w końcu biega-
liśmy w milczeniu wśród oliwnych drzew,

każdy miał złotą rybę
odblasku w wiadrach wypełnionych wodą
i twarz zasłoniętą ramieniem –
aż były już tylko cienie, w czerni stoją-

ce głębszej niż cienie, czerwony
był tylko pas nad horyzontem. jeśli to nie
był piorun, to co? zjawisko atmosferyczne,
beztrosko wyrzucony

papieros świetlika? po chwili
zapiał kogut. kogut. kogut.
a za plecami, jak transatlantyk w doku,
wznosiła się nam willa,
oświetlona jak na przyjęcie, goście wyszli
właśnie albo przyjdą jeszcze.
dopiero, gdy wiatr zawiął, poczuliśmy,
chłód naszych mokrych ubrań – przyprowadzający o dreszcze.

pasjans

widzę to jeszcze. w gęstwinie dwa
rowery ukryte i leśne światło w górze,
karta, po którą sięga ręka
paproci, obrus i plastikowe talerze,

resztki bezowego tortu.
w trzcinach stronnictwo wodnych owadów.
ważki sprawdzają paszporty
larwom komarów.

ktoś mógłby jeszcze ku nam krzyknąć
przez to lato, ten zapach szlamu,
co tak obco i mokro na przedmiotach leży

stoi daleko, brzegi nikt
nam z oczu, jak lustrzane postacie waleta i damy
po pępki zanurzeni w jeziorze.

tarok

od lat nie strzelano. tylko wielkie grzyby,
cienie min talerzowych wyrastających
z ziemi w strefach położonych przy granicy
i nagły hałas rano, gdy noc się kończy
stado zbłąkanych owiec. z kart kalendarza
wznoszą się alpy. trzej żołnierze grają.

dni, noce – a u góry gwiazdy się jarzą
z drutu kolczastego. za oknem uspokajają-
cy kurz polnej drogi, akordeon
z oślich żeber. gdy czasem drzwi
się otwierają, drżącymi rękoma
klnąc cicho sięgają po karty,
jednak nie ma wiatru, tylko cedrów kilka
stoi na zboczu jak ciemne chmury.

elegia dla kniewela

„God, take care of me – here I come...”

krajobraz zaczynał smuć na jego widok.
zawadiaka, zuch
z koszulką pełną gwiazd,
ścigany ciągle przez szerszenie
motocyklowego hałasu. kości pękały,
kości zrastały się, a on skakał.

ile przeszkód między rampą
a tamtym odległym punktem?
ile wybrakowanych autobusów?
czy znał wątpliwość, która drży
wnętrze, zanim cały kanion nie otworzy się,
a piach osypie się na brzegach,
a wielkie ptaki będą krzyżeć?

popołudnia, w których historia
osiedliła się na chwilę,
by pachnieć popcornem i spalinami.
jak tutaj, w yakimie, waszyngtonie,
gdzie nad stadionem obtłuczony księżyc
i tysiące, którym zaparło dech:
piętnaście, dwadzieścia autobusów, a motor
stoi w powietrzu.

steinway

czarny fortepian, który ci mężczyźni
dźwigali przez ulicę,
był oblodzonym jeziorem
z mego dzieciństwa, gdzie klęcząc

wpatrywać próbowałem
przez białą taflę,
gdzie między wodorostem a kryształem
żywe szczupaki zawisając nagle

w ciemności stają,
a każdy jest podobny do lśniącej fermaty,

wśród pramuzyki przenikają-
cej od szpiku, w swej piękności matematy-

cznej, śmiertelnie dokładnej,
przez jedną sekundę, która wciąż
rośnie, a w końcu zdaje
się tak wielka, że można by w niej osiąść

daleko od drogi, kamieni
i kamiennych ścieżek
i z czołem prawie już zamarznętym,
gdy trafił mnie krążek.

kukurydza

jest takie pole, tu się gubisz właśnie
podczas zabawy, gdy cień się z wolna
wydłuża i hektar albo wiorsta płaskie-
go pola, czasem wiatru, pola

dzieli cię od domu. tajemniczy
szelest liści – tasowanie
kart. a potem gdzieś wśród nieprzebranej
masy gwiazd nowa konstelacja: zając który kluczy.

śpisz zwinięty jak ścigane zwierzę.
jest ranek, gdy znajduje cię na ziemi
słońce, widzi twoją

rozłupaną pragnieniem czaszkę. gdy tak leżysz
w górze metrowe postacie się chwieją,
szydercze pyski szczerzą złote zęby.